

Wieczory Rodzinne

Nr 13

DZIAŁ DLA DZIECI

28 marca 1914 roku.

Z G O D A .

Kotek z ostremi pazury,
Piesek sprzecznej z nim natury,
Łękliwa myszka i ptaszek nieśmiały,
Razem się z sobą chowały.

Prześliczna zgoda była między niemi:
Nieraz się kotek z pieskiem położył na ziemi;
A myszka sobie wesoło
Biegała wokoło.

Ptaszek w górę podlatywał
I swobodnie wyśpiewywał;
Nawet, kiedy jeść im dano,
Poróżnienia nie widziano.

Rzadka w świecie zgoda taka:
Kot ustąpił dla myszy, a piesek dla ptaka.
Powiecie, że to bajka; mylne wasze zdanie:
Tych cudów dokazuje dobre wychowanie.

Pamiętajcież, dzieci, o tem:
Kiedy pies się zgodził z kotem,
Jakże to będzie nieładnie,
Skoro niezgoda między was się wkradnie!



Bawełna, jedwab, ubranie.

(Dokończenie).

— Mylisz się, bo od zwierzęcia — i to od jakiego! — od małego robaczka!

— Od robaczka?—powtórzył zdumiony Edzio.

— Tak; jest brzydki mały robaczek, zwany jedwabnikiem, ciągnęła starsza siostrzyczka. Wiesz zapewne, że wszystkie motyle pochodzą od pewnego rodzaju robaków t. j. gąsienic. Nie są to prawdziwe robaki jak glisty; glista nie ma nóg, jak gąsienica i nigdy nie stanie się motylem. A więc, gąsienica jedwabnika w chwili, gdy ma się stać motylkiem, obwija się całą jedwabną przędzą, która tworzy kokon t. j. delikatną kulkę wielkości jajka gołębiego. Po pewnym czasie jedwabnik przegryza go i ulatuje jako motyl, żeby znosić jajeczka, z których wylęgną się nowe gąsienice. Trzeba więc zabrać jedwab zanim to nastąpi, gdyż potem wszystkie nitki są porozrywane i do użytku niezdatne.

Kto chce mieć jedwab, zaczyna od wychowania gąsienic jedwabników, które żywią się liśćmi drzewa morwowego. Trzymają je w dużym ciepłym pokoju, w którym przędą swoje kokony. Gdy już są gotowe, zostawiwszy trochę na wyląg motyli, zbierają je i rzucają do wrzącej wody, a najęte do tego kobiety rozwijają jedwabną przędzę, łącząc po sześć włókienek w jedną nitkę. Włókna są nadzwyczaj cienkie i długie—jedna nitka ma około wiorsty długości. Z tych włókien zrobione nici, używają się do wyszywania.

Z jedwabiu jednak robią się nietylko nici, ale i materiały, daleko ładniejsze i droższe niż wełniane, bawełniane lub płócienne i więcej błyszczące, jako to: jedwabie, ałtasy, aksamity i plusze.

— Jakiego koloru jest jedwab z kokonu? spytał Edzio.

— Jest on biały lub ma śliczny jasno-złoty kolor, lecz

można go ufarbować na rozmaite kolory, tłumaczyła siostrzyczka.

— Jak się nazywają ci, co farbują materje? pytał zaciekawiony Edzio.

— Zowią ich farbiarzami. Żeby ufarbować materje ze lnu, z bawełny, lub z jedwabiu zanurzają je w duże kadzie napełnione farbą.

— To pewnie jest bardzo zabawnie być takim farbiarzem—oświadczył chłopczyk.

— Nie tak zabawnie jak sądzisz, rzekła siostra. Farby często mają bardzo przykry a nawet szkodliwy zapach; niektóre z nich są trucizną.

Edzio zabawia się oglądaniem zawartości koszyka do roboty swej dobrej siostrzyczki.

— Zobaczymy, czy pamiętam, czegoś mię uczyła, rzekł kładąc na stole cztery kłębuszki, oto jest kłębuszek nici lnianych, ten to jest wełna, to bawełna, a to znów jedwab.

Wełnę daje nam owca, nici robią z lnu lub bawełny, która jest puchem, pokrywającym ziarno krzewu bawełny; jedwab przędą jedwabniki, żeby zrobić kokon.

— Bardzo dobrze, pochwaliła go siostra, dowiedz się jeszcze, że materiały po skrajaniu szyją nitką z bawełny, lnu, lub jedwabiu. Krawcowe szyją suknie, a krawcy robią ubrania.



W zaraniu wiosny.

Ledwie tchnienie wiosny musnęło drzewa rozwijające pod cieplejszymi promieniami słońca napęczniałe młodą siłą pąki, w ogródku Hali trawka zielenić się zaczynała i kielkujące roślinki wystrzeliły jednocześnie z pod wilgotnej ziemi.

Te oznaki wiosny ucieszyły ogromnie Halę, która przyglądając się z lubością, miłym swoim roślinkom rzekła:

— Nie śpieszcie się tak kochane konwalijki, narcyzy i tulipany z rozwojem liści i kwiatów, chłody wiosenne bywają dotkliwe, zwarzyć potrafią pęd życia, schowajcie się lepiej w ziemi bezpiecznym ukryciu. Zawczasie kwiatki, zawczasie, jeszcze północ mrozem dmucha... jak rzekł poeta nasz Adam Mickiewicz, z temi słowy Hala wybiegła z ogródka.

Po niejakiem czasie pogoda różnie się zmieniała, słońce świeciło cudnym blaskiem, to znów brzydka chmura zasnuwała je mżąc deszczykiem, przy pomocy wiatru smagając budzącą się ze snu zimowego ziemię. Hala przez ciąg niepogody nie wysuwała noska na świat Boży, dopiero pewnego ranka, gdy wiosna uśmiechnęła się przyjaźnie darząc świat nadzieją ciepła i pogodnych lazurów niebios, Hala udała się do ogródka, aby odwiedzić swoich ulubieńców.

Z obawą zbliżała się do grządek nie chcąc widzieć zmarłe rośliny, tymczasem przyjemna spotkała ją niespodzianka, bo najmniejszych nie dostrzegła śladów zniszczenia wskutek powstrzymania rozwoju roślinności w napastujące ją chłody.

Witajcie mi kwiatki moje, zawołała z radością, cieszę się żeście ocalały i zakwitniecie mi niedługo. Najwidoczniej ręka Boska czuwająca nad każdym stworzeniem w przyrodzie nie dała wam zginąć, dzięki niech będą Jej za to serdeczne.

Hala z lekkim serduszkim przebiegała ścieżki ogródka, zachwycona dniem wiosennym i całą ją otaczającą przyrodą, niezmiernie zajmującą we wszelkich szczegółach. Odżywały krzewy zdobiąc się listkowiec, w przesyconem wonną świeżością powietrza, skowronki nuciły pieśni, na tem tle odbijał wyraźnie krajobraz ukochanego kraju.

Skowronek wzbijając się wciąż wysoko w górę, w srebrnych trelach piosenki zdawał się wypowiadać tklive swe przywiązanie do pól, z których zbierał szkodniki-robaczki jako pożywienie. Hala odczuła widać co wyśpiewał ptaszek, gdyż wyciągnęła rączki w górę mówiąc:

— I ja tak jak ty skowronku kocham szczerze pola, łąki i lasy rodzinnej ziemi, ona mię żywi plonami swymi winnam jej za to wdzięczność. A więc pozostanę tu zawsze, pracując ile będę mogła na zagonach czarnej gleby, w gospodarstwie kobiecem tyle jest zajęć, trzeba umieć jedynie umiejętnie je zużytkować.

Skowronek odpowiadał Hali coraz weselszą i serdeczniejszą pieśnią, wychwalając przybyłą wiosnę i te znaczne serduszka dziecinne, dążące do tego, aby być użytecznymi istotami na świecie, bo nic tak nie plami i marnuje młodości, jak próżniactwo, zamiłowanie do obczyzny, a nieukochanie tego co posiadamy.

Marja Romualda.



Na targ do miasta.

Wiesławek.

Opowiadanie z dawnych czasów.

c. d.

Zapóźna to już była przestroga, na rozhukanych koniach, jak wichur, jak burza, pędziło kilku jeźdźców, roztrącając wszystko po drodze. Jeden z nich wpadł na Wiesławka, nim ten krok zdążył zrobić do ucieczki, powalił go na ziemię, przeskoczył i nie zatrzymując się, ani oglądając, popędził dalej.

Bożym krzyknął przerażony i przypadł do chłopca, by się przekonać czy nie zabity.

— Oj! oj! — jęczał Wiesławek.

— Co ci jest, bardzo cię poturbowali?

— Oj! noga chyba złamana, oj! ręka!

Zafrasował się stary:

— Tam do licha! warjaty utrapione, żeby też tak lecieć na złamanie karku. Co ja teraz z tobą pocznę? Spróbuj wstać, ja ci pomogę.

Dźwignął go z ziemi ostrożnie, nogę stłuczoną obmacał, czy nie złamana. Ale kości nigdzie nie chrupnęły, to go więc utwierdziło w przekonaniu, że były całe, tylko uderzeniem kopyt końskich silnie potłuczone. Obejrzał rękę, było toż samo.

— No i tak się szczęśliwie skończyło, jesteś żywy i cały, to i tego rychło zapomnisz, byleś mógł wrócić do domu.

Z wielką jednak trudnością doprowadził go, a raczej do-
włókł do obozu; chłopak iść nie mógł, a tu jak na złość nie pokazał się nikt ze znajomych, coby chciał mu w tem do-
pomódz.

Dni następnych Wiesławek nie mógł się ruszyć z po-
słania, lekarz odpowiednio przepisał środki — i trzeba było le-
żeć. Byłoby to niczem dla niego, pomimo, że w miejscu spokojnie nie umiał dosiedzieć, ale myśl o uroczystościach, jakie się odbyć mają w Krakowie, w rozpacz go wprawiała.

W kilka dni bowiem po przyjeździe królowej, w dniu jej patronki, św. Jadwigi, odbyć się miała koronacja. Stroił się Kraków i przygotowywał na tę wielką, upragnioną chwilę; ciągnęły nowe tłumy ludu z najdalszych okolic, ciesząc się nadzieją uczty i widowiska. Tylko biedny Wiesławek ruszyć się nie mógł, nie mógł wziąć udziału w ogólnej radości.

Zbytecznem byłoby dodawać, ile to go łez, ile żalu kosztowało, jak mu się długim i smutnym wydawał dzień uroczystości koronacyjnych. Musiał się jednak poddać losowi i tylko wyglądał niecierpliwie Bożyma, aby przynajmniej od niego coś usłyszeć.

— Oj, co też tam było, mówcie coprędzej — zawołał, widząc go wchodzącego.

— Powoli, powoli; daj mi wytchnąć cokolwiek, bom się i zmęczył okrutnie. A toż to był tłok! jakem tyle lat przeżył na świecie, nigdy nic podobnego nie widziałem.

— A gdzieżeście stali?

— Zdaleka, nawet na boku, ale co z tego, czy ty myślisz, że było gdzie miejsce swobodne?

— A królowę widzieliście?

— Oj, mój kochany, jak słońca w dzień słotny za chmurami nie dopatrzy, tak jej za niezliczonym tłumem duchownych i świeckich dostojników dopatrzeć było niepodobna. Tylko po złotym baldachimie, jaki nad nią trzymano, można było zmiarkować, gdzie się znajduje.

— Jak ta się uroczystość odbyła, mówcie, mój złoty panie!

— Choćbym chciał opowiedzieć, to nie potrafię, przytem prawdę mówiąc, nie wiele sam widziałem, a wiem to jedynie, co mi drudzy opowiadali.

— Ach! czemuż mnie tam nie było!

— I ty myślisz, pędraku, żebyś lepiej odemnie zobaczył? A tożby ciebie jak mysz zdusili — i tylebyś tylko skorzystał.

— Ej, dałbym sobie radę, choćby mi przyszło wleźć komu na głowę... Ale mówcie to przynajmniej, coście słyszeli; od czego się uroczystość zaczęła?

-- A no, zgromadziło się zaraz z rana na Wawelu całe wyższe duchowieństwo polskie: arcybiskup, biskupi i inni dostojnicy, a księży takie mnóstwo, że w pokojach by się nie pomieścili, stali więc szeregami wzdłuż schodów do zamku wiodących.

— I cóż oni wszyscy robili w zamku?

— Przyszli po królowę i po odpowiedniej ceremonji poprowadzili ją do kościoła.

Cóż to była za procesja! co za tryumf i jaka parada! Najpierw szli duchowni, a za nimi dostojnicy koronni niosący odznaki królewskie: koronę, berło, złote jabłko i szczyrbiec Chrobrego...

— A potem?

— Potem za nimi szła królowa, z rozpuszczonemi włosami, ubrana w białą kapłańską albę, w złociste sandały i płaszcz królewski. Koło niej, jak gwiazdy koło słońca, postępowały strojne panie, lśniące od złota i drogich kamieni, obok nich znowu zakonnice, podobno przełożone z różnych klasztorów kobiecych. W końcu szli dworzanie i szlachta ze świecami w ręku.

d. c. n.

St. Junosza.

Sprawozdanie z konkursu kaligraficznego ogłosimy w następnym numerze.